

**Od autora:** Bardzo wdzięczny twórczo temat wojny.

O tym kto - kogo tak naprawdę zabija.

---

### "Synowie ziemi"

Przejeżdżali przez grząską drogę wojskowym Honkerem, wymijając co chwilę większe dziury pozostawione przez ciężkie, zmechanizowane patrole. Pojazd co rusz podskakiwał wraz z ładunkiem wionym z tyłu.

Kierowca zatrzymał samochód, po czym rzekł:

– Pora na siku, bo aż mnie oczy szczypią. I przymocujcie przy okazji ładunek, Kostropaty, zanim coś się rozpiardoli.

– Tak jest – odrzekł starszy szeregowy.

Plutonowy Mazurewicz zajął dogodne miejsce w krzakach i zaczął lać na konwalie, którymi usłane było całe wzgórze. Chłonał uroki leśnego krajobrazu, kiedy dostrzegł pod jedną z sosen coś interesującego. Podeszedł bliżej i nachylił się. Podniósł z ziemi łuskę i ocenił długość na około trzydzieści dziewięć milimetrów. Nabój musiał mieć ponad pięćdziesiąt milimetrów, czyli strzelec używał zapewne karabinu maszynowego. Mazurewicz rozejrzał się dokoła, po czym odrzucił łuskę i wrócił do samochodu.

– No co tam, szeregowy – zawołał nie wychodząc z auta. – Ukołysała was do snu.

Jak na zawołanie pojawił się Kostropaty, który był już gotowy do jazdy.

– Ciepło, cholera, panie chorąży – powiedział szeregowiec, ocierając pot z czoła. – Żebyśmy tylko za długo nie jechali.

– To gdzieś tutaj – odparł Mazurewicz. – Ale i tak trzeba będzie zapytać kogoś o drogę.

Kiedy mijali staw. Kostropaty znowu zabrał głos:

– U mnie na wsi był taki sam. Pamiętam, że wmówiłem chłopakom, że widziałem na brzegu krokodyla. Narobiłem nawet śladów dla zgrywy. Ja cię kręcę, ale mieli stracha. Matki nie chciały puszczać dzieciaków na ryby. Dostałem wtedy w skórę. Ociec był spokojny, ale umiał lać jak mało kto.

Znowu się zaczyna – pomyślał Mazurewicz, który miał po dziurki w nosie historii, co to ociec Kostropatego zrobił lub nie albo mógł zrobić. Chłopak był znośny, ale czasem zapominał, jak się zachować.

Całe szczęście na skrzyżowaniu pojawiła się pierwsza od kilkudziesięciu kilometrów żywa dusza. Była nią dziewczyna w słomkowym kapeluszu. Mazurewicz zjechał na pobocze. Dziewczyna zajrzała do auta przez okno od strony pasażera, toteż najbliższej miała do Kostropatego, który wyglądał na mocno zestresowanego.

– Cześć, chłopcy – przywitała się dziewczyna. – Jesteście może generałami albo coś takiego?

– Jasne – odparł Mazurewicz. – Ja jestem Kim Ir Sen, a to mój kumpel generał Patton. Tylko jest spięty, jak bycze jaja, bo od lat nie miał babeczki. Wojna zmienia ludzi. Którędy na Wilce, skarbie?

– Cały czas prosto, ale tam nie macie, po co jechać. Zero dziewczyn. Same stare raszple, kościół i partyzanci.

– Służba nie druźba, kochanie.

– Może chcecie meksykańca, co?

– Innym razem. Dzięki.

Odjechali.

Kostropaty wyglądał na obrażonego.

- O co chodzi? – spytał Mazurewicz. – No dalej, żołnierzu, mówcie, to rozkaz.
- Pan chorąży lubi sobie pożartować moim kosztem – odparł w końcu starszy szeregowy.
- Nie dąsajcie się, szeregowy, jak Stefcia Pizdalska. Czasem trzeba się rozerwać. Masz dziewczynę?
- Nie.
- Ale chyba kiedyś miałeś, co?
- Muszę odpowiadać, panie chorąży?
- Nie mam zamiaru drwić. Pytam jak starszy kolega.

Kostropaty milczał długo, nim wyznał:

– Nie miałem.

Mazurewicz kiwał powoli głową.

– Wszystko przed tobą, chłopie.

– Panie chorąży?

– No?

– Co to jest meksykańiec?

Mazurewicz uśmiechnął się pod nosem. Potem wyjaśnił:

– Laska bierze twojego fiuta między piersi i jazda, dopóki nie ujrzysz nieba. Co, ociec ci nie mówił?

Kostropaty znowu wyglądał na obrażonego.

Popołudniu byli w miasteczku o nazwie Wilce. Do kresu podróży pozostawało odnaleźć tylko domostwo Klichów. Aby rozpytać ludzi, zatrzymali się przed sklepem spożywczym.

– Popilnujcie wozu, Kostropaty, a ja się rozejrzę – rzekł Mazurewicz.

Kiedy wszedł do środka, w sklepie zapadła cisza. Klienci zaczęli zerkać dyskretnie w jego kierunku. Nie lubił wzbudzać sensacji, ale co robić. Podszedł najzwyczajniej do lady.

– Poproszę zapałki, papierosy, tamte batoniki i wodę mineralną – powiedział.

Ekspedientka bez słowa, energicznie podała wszystko i pobrała zapłatę.

– Zna pani Klichów? – zapytał jeszcze plutonowy.

– Trochę – odparła kobieta. – Z widzenia bardziej.

– Jak do nich dojadę? Mam adres, ale ludzie pozrywali z domów numery i trudno się połąpać.

– Za sklepem ma pan drogę. Trzeba skręcić na skrzyżowaniu w prawo i jechać żuźłówką. Mieszkają na wzgórzu.

– Dziękuję pani i do widzenia.

Kiedy Mazurewicz powrócił do auta, rzucił Kostropatemu batoniki.

– Trzymaj – rzekł. – Nie wiem, kiedy zjemy jakiś obiad.

Domostwo Klichów odnaleźli błyskawicznie. W okolicy wzgórza nikt poza tą jedną rodziną nie mieszkał. Mieli szczęście, bo brama prowadząca na podwórze była akurat otwarta, jakby czekała na ich przyjazd.

Kiedy podjechali pod same drzwi, z domu wyszła kobieta w średnim wieku. Milczała, dopóki z auta nie wysiadł plutonowy Mazurewicz, który zapytał:

– Pani Klich?

– Tak – odparła kobieta.

– Dzień dobry. Nie przywozimy dobrych wieści. Proszę spojrzeć tutaj.

Mazurewicz i Kostropaty obeszlili auto i otworzyli tylne drzwi. Oczom całej trójki ukazała się blaszana trumna zabezpieczona pasami od lewej do prawej.

– O Matko Boska – Przeżegnała się Klichowa. – A co to?

– Chwalić Boga pani syn – wyjaśnił plutonowy. – Pewnie nie pocieszę pani za bardzo, ale proszę mi wierzyć, że i tak mieliśmy szczęście. Zwykle z tych, którzy wracają ze wschodu, pozostaje jedynie garść popiołu.

Kobieta zaniemówiła. Co rusz wodziła wzrokiem to na żołnierzy, to na trumnę.

Mazurewicz w tym czasie przygotował dokumenty.

– Proszę tu podpisać – rzekł, wskazując miejsce na kartce.

– Ale to jakieś nieporozumienie – mówiła Klichowa.

– Kostropaty, otwórzcie no trumnę – nakazał Mazurewicz, a starszy szeregowy energicznie zabrał się do wykręcania śrub podtrzymujących wieko. Po kilku chwilach wewnątrz trumny ukazało blade oblicze młodego mężczyzny.

Gospodyni przyjrzała się twarzy chłopaka, zasłaniając dłonią nos.

Mazurewicz odczytał z kartki maszynopisu:

– Adam Klich, lat dwadzieścia, zamieszkały w miejscowości Wilce.

– To pomyłka, proszę pana.

– Sama Pani widzi, że syn. No tak czy nie?

– Może i syn, tyle że nie mój. Chodź pan.

Zaczęła zmierzać w kierunku drzwi domu.

– Przykro mi, ale nie mamy czasu. Co do pogrzebu wszystkie koszy pokrywa armia. Będzie uroczyste i ze wszystkimi honorami.

– Chodź pan, powiedziałam – powtórzyła kobieta.

Mazurewicz niechętnie poszedł w ślad za kobietą.

Przemaszerował ciemnym korytarzykiem do pokoju, gdzie leżał na tapczanie krótko ostrzyżony młodzieniec wyglądający na dotkniętego paraliżem.

– Oto mój syn, Adaś Klich – oznajmiła Klichowa. – Co, chcecie go jeszcze raz powołać? Pół mózgu chłopina stracił na wojnie. Drugiej połowy już nawet nie ma co zabierać.

Plutonowy zbliżył się do tapczanu.

– Potrzebowałbym jego książeczkę wojskową – rzekł Mazurewicz. – Znajdzie ją pani?

Matka Klicha wyszła, a Mazurewicz tymczasem nachylił się nad chłopakiem. Spojrzał nań, po czym przystawił mu do czoła palec wskazujący i zagiął parol. Młodzieniec momentalnie drgnął.

Gdy matka wróciła z książeczką, wszystko było jasne.

Mazurewicz czym prędzej opuścił dom Klichów.

– Przymocujcie ładunek, Kostropaty – nakazał. – Tylko migiem.

Tym razem w aucie panowała grobowa cisza. Mazurewicz nie miał już ochoty żartować. Był wściekły i usilnie próbował wymyślić, co dalej poczną. Wiedział, że rozkaz to rozkaz i bez uprzedniej konsultacji z dowództwem nie wolno mu podejmować żadnych kroków. Potrzebował telefonu, a służbową komórkę roztrzaskał podczas niedawnych manewrów. Otrzymanie nowej graniczyło z cudem.

– Przykro mi, żołnierzu, jest wojna. Są ważniejsze wydatki – usłyszał w odpowiedzi na prośbę o nowy telefon.

Przejeżdżali akurat główną ulicą miasteczka, gdy Mazurewicz dostrzegł dom oznaczony czerwoną tabliczką z napisem "Sołtys". Stanął na poboczu. Zanim wysiadł z auta, powiedział:

– Czekać tu, Kostropaty. Za chwilę wracam.

– Tak jest – potwierdził starszy szeregowy.

Sołtys, jak przystało na porządnego gospodarza, wyszedł swojemu gościowi na przeciw. Przywitał się z żołnierzem jeszcze na podwórzu. Po kilkuminutowej wymianie zdań, zaprosił przyjezdnego do domu.

Wewnątrz krzątała się już gospodyni, która grzała wodę w czajniku.

– Tam jest telefon. – Sołtys wskazał ręką na stół z mocno wytartym blatem.

– Dziękuję – odparł plutonowy, po czym szybko w pamięci wyszukał numer do swojego dowódcy i wybrał go na klawiaturze numerycznej telefonu. Czekał cierpliwie na połączenie. Po kilkukrotnym przełączaniu trafił wreszcie do gabinetu kapitana Fidlera.

– Dzień dobry, panie kapitanie. Melduje się plutonowy Jan Mazurewicz.

Potem przez kilka minut plutonowy wyjaśniał sytuację, aż dowódca odrzekł:

- Rozumiem.
- Nie wiem, co robić, panie kapitanie.
- Czyli ten, jak mu tam? Klich? Żyje?
- Oberwał na froncie i wygląda teraz jak kupa gówna, ale nie da się ukryć, że żyje.
- Cholera. Z martwymi nie ma tylu problemów. No dobra, improwizujcie.
- Jak mam to rozumieć?
- Jak chcesz. Wymyśl coś. Przecież pochować go można wszędzie.
- Niby tak, kapitanie, tyle, że chłopak jest de facto bezimienny. Jak znam księży, żaden nie zgodzi się na takiego podrzutka. W niebie każdy musi mieć imię.
- To wybierzcie mu jakieś.

Mazurewicz zamilkł. Po chwili namysłu, odparł:

- Przepraszam, ale nie rozumiem.
- Prosta sprawa – kontynuował kapitan Fidler. – Zorganizujcie jakąś uroczystość z wódką i śledziami z okazji powrotu syna na ojcowiznę. Ludziska lubią biesiadę, kiełbasę z grilla i lokalnych bohaterów. Ucieszą się i nawet księdzu zmięknie rura. O pieniądze się nie martwcie, doślemy, tylko nie szalejcie, plutonowy. Nie zapraszajcie na koncert Stonesów. No, głowa do góry i róbcie swoje. Aha, ostatecznie możemy dać mu jakiś medal. Powodzenia.

Mazurewicz chciał coś jeszcze odpowiedzieć, ale po drugiej stronie słuchawki nie było już sygnału.

- Może zjadłby pan plutonowy z nami obiad? – zaproponował gospodarz, słysząc że rozmowa dobiegła końca.
- Nie chcę robić państwu kłopotu – odparł żołnierz.
- Jaki tam kłopot. – Machnął ręką sołtys. – Witek, leć po kolegę pana plutonowego. Powiedz, żeby wjechał na podwórko.

Witek, najwyżej dziesięcioletni blondyn o pyzatej buzi, tak zerwał się do biegu, że pogubiłby o mało buty.

- Narwany dzieciak – skomentował sołtys. Sięgnął do barku po karafkę z nalewką. – To co, może po maluchu przed obiadem?

Do suto zastawionego stołu zasiadło w sumie sześcioro osób. Osowiec z małżonką Marianną, ich dzieci Witek i Karolina oraz żołnierze. Mazurewicz zerkał co chwilę nerwowo na Kostropatego, czy ten przypadkiem nie poświęca za dużo uwagi nastoletniej córce sołtysa. Całe szczęście starszy szeregowy był tak pochłonięty jedzeniem, że nie odrywał wzroku od talerza.

- Moja żona ma rękę do klopsów – powiedział z zadowoleniem Osowiec.
- Przestań, Karolu – zgałła go małżonka.
- Święta prawda – przyznał Mazurewicz. – Posiłek palce lizać. Na froncie tylko mielonka i suchary.
- Gdzie pan walczył? – zapytał sołtys, rozlewając przy okazji wódkę do kieliszków.
- Głównie na wschodzie. Tłumiliśmy rebelie.
- Mój dziadek, proszę pana plutonowego, przeżył okupację. Mój ojciec nie przeżył, a ja doczekałem się wojny domowej. Ech, aż serce żal ściska i dupa boli. Na zdrowie.

Wypili pierwszą kolejkę.

- Myśli pan, że obalą kanclerza? – ciągnął dalej Osowiec.

Mazurewicz zmarszczył czoło.

- Dopóki jest kogo obalić, na pewno będą próbować.
- Z Wilców też poszło kilku chłopca w kamasze. Bóg wie, co teraz z nimi. Lepiej, żeby wszystko się skończyło, zanim mój smyk dorośnie.
- Ilu synów ma Klichowa? – zmienił temat plutonowy.
- Jednego – odparł sołtys. – Biedaczyna oberwał prosto w głowę. Teraz uczymy go mówić od początku. Pomagamy, ile można, bo stary Klich poszedł pierdzieć w pasiak.

– Za co?

– Kradzież, włamanie i obraza moralności. Kawał drogi stąd obrobił kościół i odlał się na jakiś stary obraz. Poza tym jadł z jednej miski z partyzantami w całym kraju. Skurwysyn jeszcze czeka na paczki od rodziny. Chodźcie panowie się przewietrzyć. Przy okazji podlejem kwiaty.

Wyszli wszyscy trzej. Osowiec niósł z sobą butelkę wódki i kieliszki. Kostropaty dostał konewkę, którą miał napęlnić.

Gdy Osowiec i Mazurewicz zostali sami, sołtys zapytał:

– Co was tu sprowadza, panie plutonowy? Planujecie jakieś manewry czy co?

– Chodź pan – odrzekł Mazurewicz i poprowadził gospodarza do wojskowego Honkera.

– Co to za jeden? – spytał sołtys, widząc blaszaną trumnę.

– W tym właśnie problem, że cholera wie.

– Otwórz pan trumnę, zobaczę. Z Wilców znam wszystkich.

Mazurewicz wdrapał się do środka i zaczął odkręcać śruby. Gdy przesunął wieko, wewnątrz auta wypełnił ciężki odór rozkładu.

– Zaczyna się dopominać o ziemię – skomentował Osowiec, zaglądnąwszy do środka.

Obserwował trupio bladą twarz z każdej strony.

– Patrzysz pan, kurwa, jak na pączki w cukierni – odparł plutonowy, któremu coraz bardziej dokuczał smród. – Wasz czy nie?

– Nie. Mam pamięć do twarzy, ale tę mordeczkę widzę pierwszy raz w życiu. Jak zginął?

– Dostał kulkę. Poszarpało mu bebechy i zszedł, zanim trafił na stół operacyjny.

– Masz ci los. Fajny chłopak. Podobałby się dziewczuchom, ale cóż. Na weselu nie zatańczy.

Mazurewicz czym prędzej zamknął wieko trumny, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Osowiec wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował jednym swojego gościa. Obaj obserwowali z pewnej odległości Kostropatego podlewającego kwiaty.

– I co zrobicie z tym trupkiem? – zapytał sołtys.

– Pomówię z księdzem, żeby znalazł mu kwaterę na cmentarzu – odparł Mazurewicz.

– Byłoby po Bożemu, gdyby chłopak stąd pochodził albo miał rodzinę. Lipny pogrzeb nie przejdzie.

– Pomóście znaleźć sierocie rodzinę. Znaćcie przecież wszystkich.

– Pewno, że znam. Tylko skąd pewność, że za jakiś czas się o niego nie upomną.

– Niby kto? Gość dostanie nowe imię, nazwisko i kartę rowerową, jak trzeba. Na wojnie takie rzeczy się zdarzają. Najważniejsze, że idzie sztuka za sztukę. Resztę załatwimy na papierze.

– Trzeba by pościelić, panie plutonowy.

– Szczęśliwi tatuś i mamuśka dostaną rentę po zmarłym.

Osowiec pokiwał głową z uznaniem, po czym rzekł:

– Propozycja całkiem uczciwa, ale mało...

Żołnierz spojrział na sołtysa, który się zmieszał.

– No co? Przecież nie myślę o sobie. Jak chce się przekonać ludzi do czegoś, trzeba mieć argumenty.

– Nie mam pieniędzy – odrzekł Mazurewicz.

– To może coś na handel?

– Wyglądam na Żyda? Muszę skontaktować się jeszcze raz z dowództwem. Zobaczymy, co da się zrobić.

Niestety tym razem Fidlera nie było w sztabie albo nie miał ochoty na pogaduszki. Mazurewicz przez niecałe pięć minut spierał się z doradcą kapitana, by usłyszeć ostatecznie, że trwa wojna i nikogo nie obchodzi jakiś zgniłek.

– Człowieku – nieomal wrzeszczał do słuchawki plutonowy. – Jak za godzinę truposz nie pójdzie do piachu razem ze swoim smrodem, nawet rdza spierdoli mi z samochodu. Zlitujże się i dawaj starszego do słuchawki.

– Powiedziałem, że kapitana nie ma – odezwał się doradca.

- Kiedy mam dzwonić?
- Może jutro.
- Do jutra to ja tu jebnę.
- Wyrażajcie się, żołnierzu. Nie jesteście na przepustce.
- Zapisz sobie numer, z którego dzwonię i przekaz Fidlerowi, że pilnie czekam na kontakt. Nie czekając na potwierdzenie odłożył słuchawkę na widelki.
- Nic już dzisiaj nie zrobimy – powiedział Osowiec. – Połóżcie się spać, a rano pomyślimy.

Mazurewicz długo nie mógł zasnąć. Leżał na podłodze wpatrzony w sufit.

Problemy z zaśnięciem miał także Kostropaty, pod którym trzeszczał wysłużony tapczan.

- Co się tak, kurwa, żołnierzu kręcicie, jak na karuzeli? – zganiał go plutonowy.
- A bo mi głupio, że leżę sobie jak król na wersalce, a pan chorąży śpi na podłodze – oświadczył szeregowy.
- Moja wola. Mnie podłoga dobrze robi na plecy po całym dniu za kółkiem. A poza tym przestańcie z tym chorążym. Gdzieście się doliczyli gwiazdki, psia mać?
- Dla mnie pan chorąży zawsze będzie chorąży, nieważne co ludzie gadają.
- A co gadają?

Jako że Kostropaty nie odpowiadał, Mazurewicz naciskał.

- No dalej, żołnierzu, co tam?
- Mówią, że pana chorążego zdegradowali, bo ponoć nie chciał napisać jakiegoś raportu. Ale co też ludzie wiedzą.

Mazurewicz zadumał się na chwilę. Potem przyznał rację szeregowemu.

- Zgadza się. Gównu wiedzą.
- Panie chorąży...? – odezwał się znowu Kostropaty.
- Hm?
- Walczył pan na wschodzie. Prawda to, że ludzie zjadali siebie nawzajem?
- Nie wiem.
- Podobno z niektórych zostały same kości.
- Bzdury. Co najwyżej ktoś zjadł własne smarki. To wszystko. Przecież sami byliście na froncie, to wiecie najlepiej.
- Ale myśmy się tylko okopywali na przedmieściach stolicy. Jak przyszło co do czego, zaczęli nas przetrzucać, gdzie popadnie.
- Wojna wszędzie taka sama.
- U mnie we wsi dużo zdezerterowało, żeby nie tłuc swoich.
- A myślisz, że co teraz robią?
- To znaczy?
- Siedzą z rebeliantami i czekają, żeby odrąbać komuś łeb.
- Ociec przyniósł siekierę do domu, kiedy brali mnie do jednostki i powiedział, że tu przyda się bardziej.

– Tylko nie chwalcie się publicznie, że stary Kostropaty zbiera szyszki z partyzantami, bo za chuja nie zrobicie kariery, a i w pasiak możecie pierdnąć jak ten od Klichów, ku chwale ojczyzny.

- Nie chcę zginąć, panie chorąży.
- Znaczy, że macie jeszcze trochę oleju w głowie.
- Najlepiej zostać szybko rannym. Tyle, żeby pójść do szpitala i dostać zwolnienie. A jak szczęście dopisze może jaką rentę.
- Już słyszę, jak ziemniaki w piwnicy sołtysa gniją, takie głupoty pierdolicie, Kostropaty.
- Sam pan chorąży wie, jak tam jest. Palec wystarczy stracić albo ucho i można przetrwać. Ja to bym na-

wet rękę dał sobie uciąć, byle tylko wrócić do domu.

– Język sobie upierdol, to obaj skorzystamy. Walisz gruchę, Kostropaty?

– No wie pan...

– Właśnie wiem. Od razu widać, że nie kręcicie śmigła, bo nie doceniacie wartości własnej rączki. Ale dobra, przypuśćmy, że wracasz na wieś z kikutem i co? Reszta zasranego życia upływa na dziadowaniu pod kościołem i zbieraniu do czapki, co wpadnie. Co najwyżej stary wytarga ze stodoły sparciate homon- to i wio, w końcu nogi macie zdrowe.

– Przynajmniej spocznię we własnej ziemi, nie jak ten nieborak, co go wozimy.

Zapadła długa cisza, którą przerwał Mazurewicz.

– Kostropaty, jak wy w ogóle macie na imię?

– Paweł – odrzekł starszy szeregowy.

– To śpij, Paweł, nie pierdol. Dobrej nocy.

– Dobranoc.

Dochodziła północ, kiedy Mazurewicza coś zbudziło. Podeszedł do okna, które wychodziło wprost na podwórze i las wznoszący się za posesją. To właśnie gdzieś na wzgórzu dostrzegł błysk, jakby iskrę. Wy- tężył wzrok jeszcze bardziej, ale nic więcej nie ujrzał. Wrócił pod koc.

O świcie, gdy wszyscy jeszcze spali, wyszedł na podwórze, gdzie za domem oddał mocz. Spacerował do- koła ogrodzenia, a potem wszedł na wzgórze. Tam również przechadzał się chwilę, patrząc cały czas pod nogi. W miejscu, gdzie nocą widział iskrę, leżał filtr papierosowy. Podniósł go i stwierdził, że była to ręczna robota. Odrzucił ustnik i wrócił na podwórze.

Wszystkie przydomowe budynki gospodarcze oraz stodołę zaryglowano. Przez szparę w drzwiach jednej z komórek plutonowy dojrzał sporo pękatych worków. Od razu pomyślał o Kostropatym, który zapewne pochwaliby się, że jego ociec trzymał w takich workach pszenicę albo cholera wie co. Istny magazyn.

Mazurewicz nie zdołał zobaczyć nic więcej, gdyż na podwórzu zjawił się Osowiec. Twarz miał jeszcze opuchniętą od snu. Rzadkie włosy sterczały na głowie jak słoma. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Jak się spało, panie plutonowy? – zapytał.

– Bardzo dobrze – odparł Mazurewicz. – I plecy mnie przestały boleć.

– A to chwalić Boga. Przyszło mi coś do głowy w sprawie tego waszego poległego. Ale najpierw zjemy śniadanie. Chodź pan.

Po śniadaniu sołtys wsiadł do wojskowego Honkera razem z Kostropatym i Mazurewiczem. Pojechali lasem do miejsca przypominającego starą leśniczówkę.

– Co to za ludzie, ci do których jedziemy? – zapytał podczas jazdy plutonowy.

– Dobrzy ludzie – odparł Osowiec. – Stare małżeństwo, może trochę dziwne, ale co za różnica.

– Jak się nazywają? Trzeba będzie papiery przygotować.

– Komar. Józef i Aldona z dziurawego kondona.

Sołtys się zaśmiał, ale Mazurewicza ten żart nie rozbawił.

Kiedy dojechali do leśniczówki, wyszedł im naprzeciw około pięćdziesięcioletni mężczyzna z posępną twarzą.

– Otwórz, Józef, bramę! – krzyknął Osowiec. – Sami swoi.

Samochód wjechał na podwórze. Wszyscy wysiedli.

– Pozwólcie, panowie, że pogadam z Józefem w cztery oczy – zaproponował Osowiec i odszedł z gospo- darzem na bok. Po kilku minutach powrócili, a sołtys oznajmił: – Załatwione.

Wszyscy czterej wytaszczyli trumnę na zewnątrz, a Kostropaty ją otworzył.

– No i znalazła nasza sierota upragniony dom i rodziców – skomentował Osowiec. – Wołajże, Józefie, małżonkę.

– Jak pan to załatwił? – spytał plutonowy.

– Oni po prostu zawsze chcieli mieć dziecko – wyjaśnił sołtys. – Tyle, że Józef już zamknął warsztat, a jego baba... Zresztą sam pan zobaczysz.

Z domu wyłoniła się postać bardzo zaniedbanej kobiety w średnim wieku. Szła powoli podtrzymywana przez męża. Komarowa sprawiała wrażenie upośledzonej. Nie bardzo wiedziała, co się wokoło niej dzieje. Gdy każdy z zebranych stanął nad otwartą trumną, głos zabrał Osowiec.

– Józefie, Aldono. – Stał pomiędzy małżonkami, by dodać im otuchy. – Wielkie wzruszenie ściska mi gardło, bo oto syn wasz powrócił po wojaczce do domu rodzinnego.

Kobieta spojrzała najpierw na sołtysa, później na dwóch żołnierzy, a na końcu rozplakała się. Klękła przed trumną i łkała z rozpaczą, gładząc nieboszczyka po policzku.

– Nie płaczcie, matko – pocieszał ją Osowiec. – Doczekaliście w końcu powrotu dziecka. No niechże pan powie jakieś słowo pocieszenia, panie plutonowy.

Mazurewicz był oszołomiony tym, co widział. Stać go było jedynie na krótkie:

– Ojczyzna i kanclerz są wam dozgonnie wdzięczni. Proszę przyjąć moje kondolencje.

– Wódki się trzeba napić z tej okazji – przemówił wreszcie Komar.

– No tak, tak – przyznał mu rację Osowiec. – Koniecznie trzeba.

Mazurewicz chciał się jakoś wykręcić, ale wiedział, że nie wypada, choć cała sytuacja coraz bardziej zaczynała go męczyć.

Siedli wszyscy do trzeszczącego stołu okrytego starą, podziurawioną ceratą. Żona Komara poruszała się w kuchni całkiem swobodnie, stawiając przed mężczyznami szklanki, talerze i sztucce. Teraz wyglądała na pobudzoną.

– Imię trzeba wybrać – rzekł Osowiec do wszystkich, gdy Komar polewał wódkę do szklanek. – Toż to prawie chrzciny! – zażartował później, ale nikomu nie było do śmiechu.

– Damy mu Józef – rzekł Komar.

– Bardzo dobrze – pochwalił sołtys. – Szlachetne imię. Jak Piłsudski.

– Jak Stalin – odparł gospodarz.

– Grunt, że po ojcu. No to pijmy, na zdrowie!

Po kilku kieliszkach Józef się rozgadał.

– Syn mój wrócił z wojny – mówił do wszystkich. – Bohater narodowy. W całych Wilcach drugich takich nie będzie. Dobrego żołnierza wychowaliśmy, matko.

Siedząca z boku, niedaleko pieca Aldona kiwała się na krześle.

Komar powstał i bez słowa tłumaczenia wyszedł na podwórze.

– Pora nam jechać, sołtysie – rzekł Mazurewicz.

– Chwila, panie plutonowy. Wojna nie zając.

– Wojna nie zając – powtórzyła mimowolnie Aldona.

Do domu wrócił Komar, ale już nie sam. Taszczył na własnych plecach nieboszczyka. W kuchni momentalnie powietrze zrobiło się cięższe.

– Coś ty, Józef – odezwał się Osowiec. – No coś narobił, cholera?!

– Wódki z synem nie piłem – odparł gospodarz i posadził martwego żołnierza na wolnym krześle.

Kostropaty natychmiast zaczął krztusić się smrodem zwłok.

– Co tu się, kurwa go mać dzieje?! – krzyknął Mazurewicz, potem spojrzał na starszego szeregowego. – Uspokójcie się, Kostropaty, bo zaraz mundur zarzygacie. Przecież to jest bezczeszczenie zwłok. To zniewaga.

– Panie plutonowy! – Powstał ze swojego miejsca Osowiec. Zbliżył się ku żołnierzowi i rzekł już przyciszonym głosem. – A jak wy wozicie biedaka w lodówce i myślicie, komu by tu podrzucić zgniłe jajo, to co? Robicie mu przysługę? Proszę usiąść, najdalej za kwadrans nas tu nie będzie i zapomnimy o wszystkim.

Mazurewicz się uspokoił.



– Syn mój wrócił z wojska – powtórzył Komar do wszystkich. – Będziemy pili wódkę, kurwa jego pierdolona mać! Wojenka, wojenka, cóżeś ty za pani, że za tobą idą chłopcy malowani! Sam kanclerz mojemu synowi ścisnął rękę.

– Już dobrze, dobrze – uspokajał gospodarza sołtys. Bezskutecznie.

– Jakby mój chłopak miał więcej szczęścia, to byśmy teraz z samym generałem siedzieli. W całych Wilcach nie mają takiego chłopca. Ni chuja, sołtysie. Nawet ten wasz partyzant mniejszy i słabszy.

– Bredzisz, Józefie – odparł Osowiec. – Idź lepiej spać.

– Pójdę, jak się napiję wódki z synem.

– I dobra, napijcie się.

Sołtys wziął całą butelkę wódki i począł na siłę wlewać jej zawartość do ust Komara, który o mało przy tym nie zwymiotował.

– Dostyc, panie Osowiec! – skarcił go Mazurewicz. – Powiedziałem dostyc!

Sołtys odłożył prawie pustą już butelkę.

Kilka minut później Komar zasnął. Wówczas Kostropaty złożył nieboszczyka z powrotem w trumnie, którą wszyscy trzej wnieśli do korytarza. Potem odjechali.

W drodze powrotnej mówił tylko Osowiec. Stale powtarzał, że Komar jest niespełna rozumu nawet bardziej niż Aldona. Mazurewicz odparł tylko na to:

– Zadzwonimy jeszcze do sztabu i zbieramy się. Zostańcie, Kostropaty, w samochodzie.

– Ale ja muszę na stronę, panie chorąży – odezwał się szeregowiec.

– Dobra, tylko piorunem.

I tak każdy poszedł w swoją stronę.

Na całe szczęście Mazurewicz dodzwonił się szybko. W kilku zwięzłych zdaniach przekazał informacje na temat dalszych działań, a kiedy otrzymał potwierdzenie kapitana Fidlera, odłożył słuchawkę.

Po raz pierwszy od dawna poczuł ulgę. Rozpiął z tej okazji guzik przy kołnierzyku koszuli, zapalił papierosa i spacerował po podwórzu, napawając się piękną pogodą. Kostropatego jeszcze nie było. Zjawił się natomiast Osowiec.

– Słoneczko takie, że nic tylko grzać kości – zauważył sołtys.

– Macie tu spokój, aż ciężko wytrzymać – odparł plutonowy. – Na wojnie ciągle coś się dzieje.

– Jeszcze trochę się pan napatrzy na wojnę, bo coś mi się zdaje, że długo nie zobaczymy tego obiecane królestwa.

– To na co pan czeka jak nie na monarchię?

– Czekam, żeby w końcu było dobrze. Kanclerz, cesarz, wszystko jedno. Ja tam na polityce się nie znam, ale swój rozum mam. Co by nie było, niech się już skończy.

– I wszyscy synowie powrócą z lasów.

– Wierzysz pan temu popaprańcowi?

– Słuchajcie, sołtysie, mnie to nie interesuje. Mam inne zadania...

Plutonowy chciał dodać coś jeszcze, ale zamilkł, gdy usłyszał huk. Rozejrzał się natychmiast dokoła, po czym dobył pistolet z kabury i wraz z sołtysem pobiegł za dom.

Ujrzeni leżącego na ziemi Kostropatego, który wypadł najprawdopodobniej z wychodka. Chłopak zsuł z lewej stopy but, aby wszyscy widzieli, że krwawi.

– Coście narobili, żołnierzu? – zapytał Mazurewicz.

– To wypadek, panie chorąży – tłumaczył zdenerwowany szeregowiec. – Czyściłem Glocka i tak sam z siebie wystrzelił.

– Zawsze zdejmujesz buty do czyszczenia broni?

Kostropaty nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu rozplakał się i odparł:

– Nie chcę wracać na front.

– Chuj kładę na to, co chcecie, żołnierzu! – skarcił go Mazurewicz. – Zdechniesz teraz pod sraczem jak

pies.

- Weźmy go do domu, bo się całkiem wykrwawi – zaproponował Osowiec i pierwszy chwycił leżącego.
- No dalej, panie plutonowy. Nie ma czasu.

Wściekły jak osa Mazurewicz stanął po lewej stronie Kostropatego i tak przetransportowali rannego do domu.

- Nie daruję wam tego, Kostropaty – zaklinał plutonowy. – Wszystko zrobię, żebyście do końca wojny palili gówno we frontowych latrynach. Aż wam w pięty, kurwa, pójdzie.

Osowiec posłał swojego syna do miasteczka, żeby ten przyprowadził lekarza. Dzieciak powrócił kwadrans później i oznajmił, że doktor gdzieś wyjechał. Wtedy sołtys dał rannemu sporą porcję wódki. Wreszcie Kostropaty zasnął.

- Gdzie tu jest najbliższy szpital? – zapytał plutonowy.
- Będzie ze trzydzieści kilometrów – wyjaśnił Osowiec.
- Pomóż mi pan załadować tego mazgaja do samochodu.
- No dobra.

Małżonka sołtysa zatamowała krwotok. Poszarpaną stopę obmyła i owinęła w prześcieradło.

Osowiec i Mazurewicz wynieśli nieprzytomnego szeregowca na zewnątrz, ale nim doszli do wojskowego auta, musieli przystanąć.

Na podwórzu stało kilkunastu mężczyzn z karabinami i pistoletami w rękach. Jeden z gapiów pogwizdywał jakąś melodię.

- A wy tu czego?! – Wściekł się Osowiec.
- To tak mnie tato wita? – spytał brodaty mężczyzna, który trzymał nonszalancko karabin maszynowy. Uśmiechał się do sołtysa.
- Niepotrzebnie przychodziłeś, Janek – rzekł Osowiec.
- Słyszałem strzał, a że byliśmy w pobliżu... – Partyzant spojrzał na nieprzytomnego żołnierza. – Co mu jest?

- Ranny – oświadczył Mazurewicz. – Musi natychmiast jechać do szpitala.
- Uczonych w naszym lesie mnogo, panie plutonowy – odparł Janek Osowiec. – Znajdzie się i lekarz. – Potem odwrócił się do swoich ludzi i rozkazał: – Zabierzcie ich do lasu.

Mazurewicz wiedział już, że nie ma znaczenia, co powie. Nie przekona do swoich racji żadnego z partyzantów, nawet przebłąkać ich nie można. Zmierzał więc z grupą rebeliantów do lasu, spoglądając co jakiś czas wstecz, gdzie młody Osowiec witał się i zarazem żegnał z rodziną. Kostropatego prowadzili dwaj chłopcy.

Obozowisko rozbito spory kawałek w głąb gęstego, sosnowego lasu. Pora roku sprzyjała partyzantom, którzy spali praktycznie pod gołym niebem. Szałasów było niewiele, co plutonowy odczytywał jako znak początku paramilitarnej organizacji. Możliwe jednak, że to obozowisko stanowiło jedynie punkt przejściowy na drodze do centralnego ośrodka sił rebeliantów, jeśli coś takiego w ogóle istniało.

Mazurewicz odświeżał w pamięci raporty, które gromadził wywiad. Oficjalnie opozycjoniści kanclerza Waltera posiadali mierną załogę składającą się z wieśniaków, łotrzyków i anarchistów, którą siły piechoty powinny zetrzeć na proch. Żołnierze, mający pewne doświadczenie, wiedzieli jednak, że walki trwające na kilku frontach kraju nie przebiegają tak łatwo. W końcu w domu prawie każdej rodziny kurz zbierały medal wyeksponowany w małej gablotce i flaga – standardowy zestaw pamiątek po poległym żołnierzu. Wszyscy zdawali się domyślać, że wojna nie skończy się ani szybko, ani pomyślnie.

Wiedział to także plutonowy Jan Mazurewicz, który najpierw spędził czas w asyście milczącego strażnika, bardzo zajętego kompulsywnym czyszczeniem karabinu maszynowego. Dopiero popołudniu z miasteczka powrócił syn sołtysa, który przyniósł blaszane kubki i termos z kawą.

- Napij się, chłopie, bo cała noc przed nami – rzekł Osowiec rozlewając ciepły płyn do naczyń.
- Wolałbym zasnąć – odparł Mazurewicz, ale przyjął swoją porcję kawy.

– Szkoda przegapić takie niebo. Być może niektórzy spojrzą na nie po raz ostatni w życiu.  
Do rozmawiających podszedł jeden z partyzantów.

– Co tam, Buch? – zapytał Osowiec.

– Według mnie opatrunek założony wzorowo. Nie trza poprawiać – oświadczył chłopak.

– No, to wesoła nowina. Słyszeliście, plutonowy? Wasz kolega będzie żył. Buch kończył co prawda polonistykę, ale zainteresowania ma szerokie.

Mazurewicz popatrzył na Bucha, a potem na syna sołtysa.

– Jeśli chłopak migiem nie trafi do szpitala, wda się gangrena i trza mu będzie upierdolić połowę kulusa. Nie trzeba studiować medycyny, żeby to wiedzieć.

Osowiec wrzucił na to ramionami.

– Cóż. Jest wojna. Takie rzeczy się zdarzają. Po cholere tu przyjechaliście?

Plutonowy opowiedział całą historię, a gdy skończył, Osowiec głośno się zaśmiał, po czym rzekł:

– Straszny burdel macie w papierach, a to dopiero początek. Twoja historia pokrywa się z tą, którą słyszałem od staruszka.

Mazurewicz pokiwał głową z uznaniem.

– Sprawdzasz mnie. Dobrze. Niby jesteś ostrożny, a zostawiasz po sobie pety i łuski? Nawet dziwki wiedzą o waszej obecności.

– Żebyście wiedzieli, gdzie nas szukać.

– Znajdziemy prędzej czy później.

– Jak na razie to myśmy was znaleźli. Pan za bardzo podkreślasz różnice między żołnierzem a cywilem. Tymczasem okazuje się, że coś nas jednak łączy. Nam obu na chrzcie dano Jan.

– Chwalić Boga.

– Tyle, że ja noszę swoje imię z dumą.

Mazurewicz rozglądał się dokoła, jakby stracił ochotę na dalszą rozmowę.

– Co, liczysz ludzi? – zapytał Osowiec.

– Zbyteczny wysiłek. I tak jest was za mało, żeby przetrwać.

– Będzie więcej.

– Z pewnością. Póki co nikt nie wie, że w Wilcach mieszkają tylko kobiety, dzieci, ksiądz i nieborak Klich na garnuszku mamusi. Teraz za dużo jest roboty na froncie, ale zaczną się kontrole. Sołtys naleje po kielichu i co dalej? Siostrę przebiorą za ciebie? Lepiej niech już zapuszcza dziewczyna wąsy.

– Gaduła z was, żołnierzu. Weźcie lepiej przykład z kolegi i zamknijcie mordę, bo to nie koszary, kurwa twoja mać.

Osowiec podniósł się z ziemi i odszedł zabrawszy termos z kawą.

Nocą plutonowego zbudziły krzyki. To Kostropaty wrzeszczał jak opętany z jakiegoś powodu. Natychmiast cały obóz wstał na nogi sądząc, że do Wilców przybyło wojsko. Zamieszanie opanował dopiero Osowiec, który najpierw zezwał kilku partyzantów, a potem zrobił obchód po obozowisku. Wtedy też Kostropaty zamilkł.

Przywiązany do drzewa Mazurewicz próbował coś dojrzeć, ale nie nawykł do leśnych ciemności. Na froncie walki trwały za dnia, a nocą jedynie niewielki oddział "łowców" tropił partyzantów, którzy nie byli wyposażeni w noktowizory. I całe szczęście, pomyślał zaraz plutonowy.

Dopiero o świcie udało się zagać mocno zaspanego rebelianta.

– Co zrobiliście z Kostropatym?

– A kto to jest? – zapytał śpioch zupełnie nie rozumiejąc, o co może chodzić.

– Ranny żołnierz, do cholery – odparł Mazurewicz.

– Aha, krzykacz. – Partyzant machnął ręką. – Już nie cierpi.

– Co z nim zrobiliście?! – naciskał plutonowy.

– Spokojnie, człowieku. Dowódca wstanie, to wszystko wyjaśni. Śpij.

Partyzant zniknął za krzakami.

Później zjawił się Osowiec. Znowu przyniósł ze sobą termos z kawą i kazał rozwiązać więźnia.

– Gdzie Kostropaty? – zapytał od razu Mazurewicz.

– Chłopcy nieśli go skoro świt do lekarza, ale zmarł w drodze biedaczyna – rzekł Osowiec. – Narobił w nocy hałasu. Widać potrzebował bardzo pomocy.

– Odstrelili sobie palec i odwalił kite? Nie sędzę, synku.

– Po mojemu umarł na to. – Partyzant dotknął dłonią swej piersi. – Wykończyła go rozpacz po ojczyźnie, którą utracił. Tutaj był jak uchodźca.

Plutonowy spojrział w niebo i zapytał:

– Która godzina?

– Tu nie ma godzin. Przyłącz się do nas.

– Dla mnie żadna różnica. Z wami czy przeciw i tak źle.

– Przydałby się żołnierz z krwi i kości.

– Pierdolicie, Osowiec. Przydałby wam się Bóg albo cud.

– A czy to nie jest, cud, Janie? Rozejrzyj się dokoła. Słońce, niebo, zapach lata. Wszystko to stworzył Bóg dla ludzi. I wara choćby spojrzeć łakomie waszemu kanclerzowi na nasze pola. Jak chce ziemi, ostatnie jej skrawki będzie musiał wygrzebać zza tych paznokci. Żywcem nie oddamy.

Każdego słowa Mazurewicz słuchał uważnie. Kiedy syn sołtysa skończył swoją wypowiedź, plutonowy odrzekł:

– Wiesz co widziałem w nocy? Stado baranów. Jeden gówniarz napędził wam tyle stracha, co cała kompania. Chcesz być dowódcą, a jesteś pasterzem. Mogliby ostrzyc was tylko dla wełny i po bólu. Niestety teraz przyjdą tu po skórę.

– Nie potrafiłbym żyć na kolanach.

– Umrzyj więc na stojąco z ziemią pod pazurami.

Osowiec uśmiechnął się, ale tak naprawdę uczuł głęboki żal, bo zrozumiał, że więcej już nic nie można zrobić. Gestem nakazał strażnikowi związanie więźnia.

Gdy młody rebeliant krępował żołnierza sznurkiem, powiedział cicho:

– Twojego kumpla udusiliśmy i wrzuciliśmy do wilczej nory. Z tobą zrobimy to samo, przyjacielu. Fajne papcie. Jaki masz rozmiar? Podoba mi się jeszcze twój pistolet. Trzym się, chłopie.

Popołudniu zapanowało zbiorowe milczenie. Niektóre rozmowy towarzyskie ustały całkowicie, a inne jeszcze się toczyły mocno przyciszonymi głosami. Wyglądało, że coś się święci. Trudno powiedzieć czy ciężką atmosferę powodowała codzienna nuda, nocny mord na Kostropatym czy widmo nadchodzącego wyroku na plutonowym Mazurewiczu. Ludzie byli poważni, jakby pograżeni w myślach, których nikt nie zamierzał wypowiadać na głos.

Napięcie sięgnęło zenitu, gdy Osowiec zjawił się w asyście kilku swoich podkomendnych.

– Przejdziemy się, Janie – oznajmił syn sołtysa, a dwaj partyzanci pomogli rozwiązać żołnierza.

Spacer nie był długi. Najpierw orszak ze skazańcem przemaszerował przez obóz. Potem wszyscy zeszli ze wzgórza na małą, cichą polanę, na którą lał się żar słoneczny, aż podróż skończyli u wejścia do zagajnika. Tam Mazurewiczowi nakazano stanąć pod drzewem. Ponownie go spętano. Tym razem jednak stał.

Miał teraz naprzeciwko siebie rebeliantów.

– Aleście się odjebali – skomentował żołnierz. – Co to Boże Ciało?

Na szpicy rebeliantów stanął Osowiec, dzierżący w jednej dłoni pistolet, w drugiej zaś kartkę, z której odczytał wyrok:

– Za zdradę ojczyzny skazujemy cię, Janie Mazurewiczu, na śmierć. Wyrok wykonany zostanie natych-

miast. Masz trzy minuty na modlitwę.

– To wasza pierwsza egzekucja nie licząc Kostropatego, co? – rzekł plutonowy. – Wiesz co, Janek. Chuj kładę na waszą ziemię i naszego kanclerza. Jeśli nie masz nic więcej do powiedzenia, to wal i spierdalaj. Nie przerywaj mi relaksu.

– Dobry z ciebie człowiek, tylko głupi – odparł na koniec Osowiec, po czym nacisnął spust. Ptactwo z pobliskich drzew wzniosło się ku niebu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Quentin, dodano 01.06.2016 19:03

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).